№ 40 WARSZAWA, DNIA 5 PAŹDZIERNIKA 1912 ROKU ROK II

NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

MARJA KACZKOWSKA.

ODZIMEK CZYLI RYCERZ ŚPIĄCY

(BAŚŃ TATRZAŃSKA).

Ciąg dalszy.

Śliczne są wodospady — zwane inaczej w Tatrach wodogrzmotami. Najznaczniejsze są: Mickiewicza — mniejsze zowią górale Siklawami.



Dolina Kościeliska ze skałą Pisaną.

Słynną jest dzika dolina Kościeliska, zamknięta górą Pyszną. Na dolinie tej są groty, zwane Krakowem,—Grota Bolesława Wstydliwego — o której jest ładne podanie, oraz inne jak—Mylna, Raptowiecka i t. d. Dalej idąc znajdujemy grotę

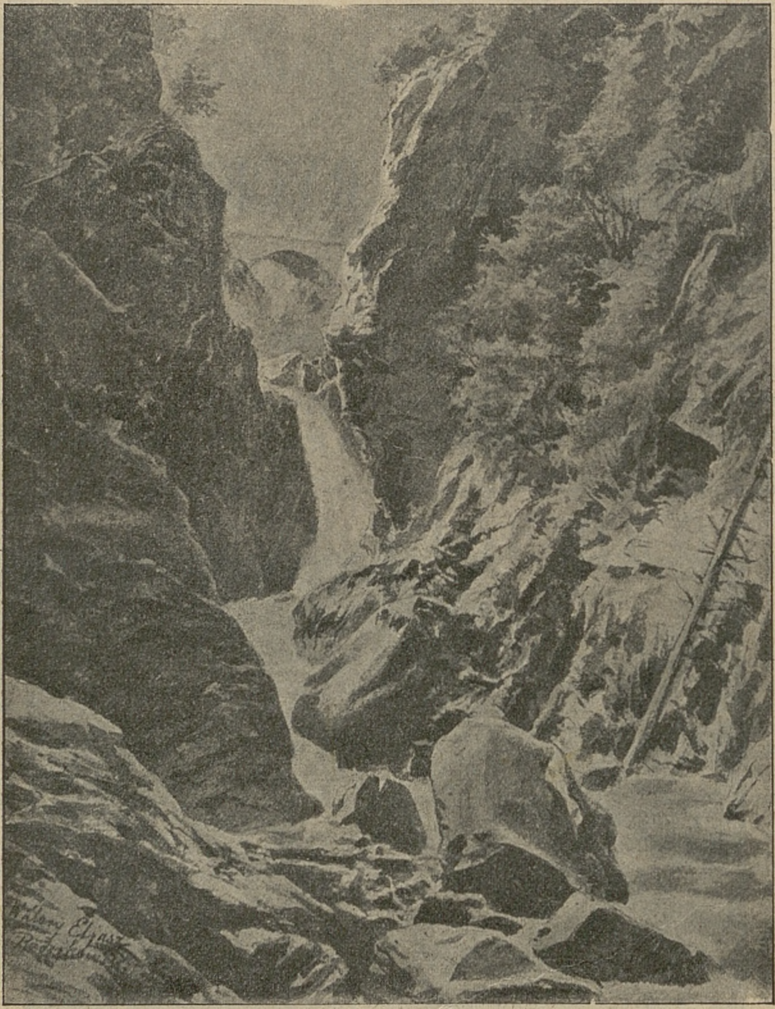
Okno Zbójeckie. Brama Kraszewskiego z tablicą na pamiątkę jego wmurowaną na skale.

W dolinie za Skałą Pisaną stoi krzyż postawiony dla upamiętnienia poety naszego, Wincentego Pola, oraz znajduje się piękny Staw Smereczyński, okolony drzewami i świerkami.

Z południowej strony są góry Beskidy, o wiele niższe od Tatr. Najwyższym ich szczytem jest Babia góra, o której mówi nam śpiewka-krakowiak:

Między Karpatami stoi Babia Góra i t. d.

Tatry posiadają wielkie mineralne bogactwa, dotąd niedostatecznie zbadane. Roślinność w górach jest rozmaita, w dolinach niezmiernie bujna.

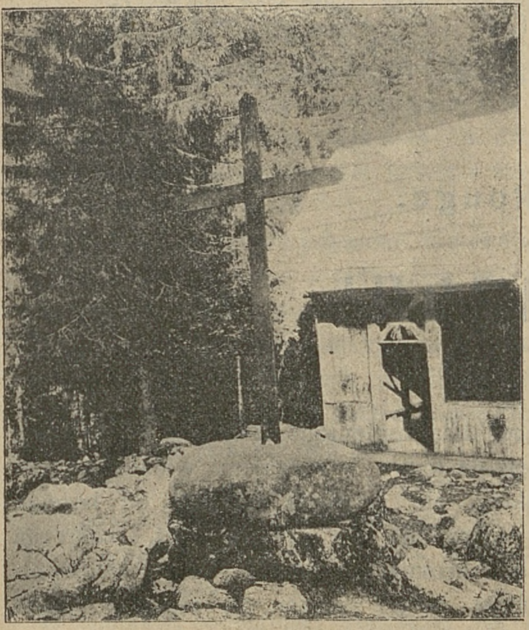


Wodogrzmoty Mickiewicza.

Oprócz ziół innych, są czysto górskie, jak np.: goryczki w różnych gatunkach, dzwonki, lilje, storczyki, tojady, jaskry, kaczeniec, dziewięciorniki, czyli piękne białe osty przyziemne, zwane „dziewięćsił”.

Rośliny te znajdują się przeważnie na polanach, pokrytych rzadką, ale pożywną

dla bydła trawą. Na górnych wyżynach, pośród nagich turni, rośnie wielka ilość



Krzyż Pola.

goździków, skalnic i rojników, astrów górskich i niezapominajek.

Najpiękniejszą ozdobą jest coraz rzadziej spotykana szarotka, czyli kocia łapka, biały, śliczny kwiatek, niewiędnący.

W wyżej położonych dolinach napotykamy „limbę" — rodzaj sosny z długiemi igłami, najwięcej przy Morskiem Oku.



Szarotka.

Jeszcze wyżej, rośnie kosodrzewina; pokrzywiona sosna karłowata, która tworzy kępy poplątanych krzaków, trudnych do przebycia, a dalej jeszcze, wśród ziół kwitnących, wierzba karłowata, która się pnie po ziemi; prócz tego, pełno jest mchów, paproci i porostów.



Limba nad Morskiem Okiem.

(D. c. n.)

Gustaw le Rouge.

NIEWIDZIALNI.

Ciąg dalszy.

Ostre krzyki przygłuszał matowy odgłos jak gdyby miażdżonych kości i mięsa, jakieś potworne chrupanie dawało się słyszeć, a od czasu do czasu straszliwa paszcza wyrzucała, otoczone krwawą pianą, resztki zgruchotanych skrzydeł i macek, tworząc z nich wał półkolisty przed wejściem.

Po nad tym wstrząsającym widokiem, czarne chmury wybuchały co chwila oślepiającemi błyskami, oświetlającemi ponury krajobraz i rozhukane morze.

Było to nad siły moje... Przytomność mię opuściła—omdlałem.

Kiedym otworzył oczy, z Niewidzialnych nie pozostało ani śladu... Wszystkie znikły w potwornej paszczy.

Burza huczała, jak przedtem, lecz w wyglądzie góry zaszła niewytłomaczona zmiana: cała teraz promieniowała blaskiem przyćmionym, mlecznym. Miałem przed sobą mur nieprzenikniony, świetlisty... Robił on wrażenia tak straszne, iż się to nie da wyrazić słowami.

Zapewne teraz straszliwa góra odpoczywała, trawiąc...

Byłem tak znękany, zmęczony, że nie mogłem wcale myśleć. Nie byłem już nawet ciekawym; jedno tylko uczucie pozostało: uciec stąd jaknajprędzej, choćby z narażeniem życia! Nie myślałem o burzy, chłoszczącej dotąd spienione fale, lecz odwiązałem śpiesznie łódkę i zacząłem wiosłować jak szalony, ale zaledwie odbiłem od brzegu, gdy olbrzymia fala uniosła łódź i zakręciła ją kilkakrotnie jak źdźbło słomy. Uchwyciłem za burt i zaczęła się piekielna jazda z jednej fali na drugą.

Łódkę, pędzoną z szybkością szaloną, byłyby fale zatopiły odrazu, gdyby nie jej nadzwyczajna lekkość. Dwukrotnie byłem wyrzucony na ląd i porwany z powrotem: w końcu straciłem władzę w zdrętwiałych rękach i wpadłem w rozszalałe morze...

Jakim cudem ocalałem — sam nie wiem. Uczucie ciszy i ciepła otrzeźwiło mię; otworzywszy oczy, ujrzałem, iż leżę na kamienistem wybrzeżu, a za pierwszem poruszeniem uczułem, iż całe ciało mam zbite i poranione; uderzenia o skały pokryły mię zadrapaniami i sińcami, a żołądek mój gwałtownemi boleściami protestował przeciwko pochłoniętej przezemnie wodzie morskiej.

Myślałem, że już nadeszła dla mnie ostatnia chwila: miałem jednak jeszcze tyle siły, że unosząc się na rękach, odsunąłem się nieco od brzegu, aby nie być znów porwanym przez fale. W pobliżu ujrzałem potrzaskane szczątki mojej łódki, oraz kilka przedmiotów, które w niej były. Posunąłem się w tę stronę, lecz byłem tak bezsilnym,

że w ciągu pół godziny zaledwie przepełzłem jakieś dziesięć kroków; ruch każdy wyrywał mi z ust jęki bólu, a pragnienie straszne paliło język i gardło.

Jakże się ucieszyłem, zobaczywszy przy szczątkach łódki, małą baryłeczkę z trzciny bambusowej, w której zabrałem na drogę trochę owego czerwonawego likworu znalezionego w podziemiach!

Z wielkim trudem wyrwałem zamykający go kołeczek drewniany i połknąłem chciwie kilka łyków. Natychmiast uczułem znaczną ulgę w całem ciele; po niejakim czasie wstałem i z wielkim wprawdzie wysiłkiem, odciągnąłem dalej od morza rozbitą łódkę, obiecując sobie ją później naprawić.

Chwiałem się jeszcze na nogach, a słońce dopiekało nielitościwie; zacząłem się jednak rozglądać po wybrzeżu, na które zostałem wyrzucony.

W niejakiej odległości rozciągał się las owych szczególnych drzew o metalicznym połysku; nad nim to widziałem poprzedniej nocy bladą światłość. Za lasem, w wielkiem oddaleniu widniał szczyt wulkanu, uwieńczony wstęgą dymu; na prawo przeklęta góra zamykała sobą dalszy widok: wierzch jej ginął w chmurach.

Straszliwa scena, widziana w nocy, odżyła w mojej pamięci...

Zadrżałem ze zgrozy, czując, iż bezpieczniej byłoby znaleźć się w szponach lwa, aniżeli w tem strasznem sąsiedztwie. Wiedziałem, że życie moje zależy od niewidzialnego potworu, który lada chwila może mię pochłonąć, jak wieloryb drobną rybkę. Nie wiedziałem czemu przypisać to, iż żyję jeszcze: chyba odrętwiałości, w jakiej po tak obfitej uczcie musiał się ów potwór znajdować...

Uciec?.. Tak, to było koniecznem, lecz na razie niewykonalnem; nie można było o tem myśleć wobec poranionych nóg i zgruchotanej łodzi.

Wśród tych smutnych rozpamiętywań przyszło mi na myśl, czyby nie było dobrze użyć na moje skaleczenie cudownego kordjału z podziemia? Zrobiłem tak i skutek był natychmiastowy: palenie w ranach ustało i mogłem, chociaż kulejąc, chodzić swobodnie.

Wkrótce znalazłem sporego żółwia, którego zabiłem kamieniem, lecz nie miałem na czem upiec, tylko ostrym kamieniem wykrajałem trochę mięsa, które mi jednak nie smakowało.

Ponieważ morze wraz ze szczątkami łódki wyrzuciło przytwierdzoną do burtu siekierę, przeto wziąwszy ją, poszedłem w głąb lądu, w kierunku lasu, błyszczącego jak stal polerowana. Po drodze znajdowałem dużo tabliczek szyldkretowych z żółwich grzbietów: byłby to wyborny materjał do naprawy łodzi! Wiedziałem, że szyldkret w fabrykach grzebieni bywa rozmiękczanym we wrzącej wodzie: gdybyż tu znaleźć gdzie gorące źródło!

Postanowiłem poszukać go w pobliżu wulkanu. Przedtem jednak doświadczyłem wielkiej radości: oto nawpół ukryty w piasku, leżał na wybrzeżu mój hełm opalowy! Umieściłem go w bezpiecznem miejscu pod skałą i puściłem się w drogę. Między wybrzeżem a wulkanem była przestrzeń pusta, lecz wpatrując się w błyszczące odblaskiem słońca drzewa, odkryłem rzecz zdumiewającą: to były nie drzewa, lecz maszty metalowe! Miały one na sobie poprzeczne cieńsze sztabki, niby reje na maszcie, które wciąż się rozdzielając na coraz cieńsze rozgałęzienia, miały końce cienkości igieł.

Całość miała kształt jodły z wierzchołkiem ostrym i cienkim, a każdy z tych masztów był osadzonym w wielkiej grubej płycie szklanej. Był to las sztuczny, prawdziwy las piorunochronów!..

Teraz zrozumiałem, skąd pochodziła ta światłość rażąca, którą widziałem nad tym lasem podczas burzy, lecz gdzież się podziewała olbrzymia ilość fluidu, gromadzącego

się tu podczas codziennych burz wieczornych? Gubiłem się w tych domysłach!

Błądząc po lesie, natrafiłem na obszerną polankę, wyłożoną grubemi płytami szkła przezroczystego, pod któremi słychać było szmer bieżącej wody. Ukląkłem i zapuściwszy wzrok w głąb, ujrzałem mnóstwo kabli, zalanych wodą jeziora czy kanału podziemnego. Było ich mnóstwo, a szeregi ich kierowały się w stronę kwarcowej góry.

Zrozumiałem teraz: oto one odprowadzały tam energję, ściągniętą z chmur przez metalowe piorunochrony w kształcie drzew. Tak więc ta olbrzymia siła była pochłoniętą i użytkowaną na cel niewiadomy przez istotę potężną, straszliwą, w rodzaju starożytnego Lewiatana.

Byłem tak pochłonięty swem odkryciem, iż sam nie wiedziałem, kiedy zszedłem ze szklanych płyt polanki i zapuściłem się między drzewa metalowe, z których przelatujący wiatr wydobywał cichy dźwięk przy poruszaniu ich drobnych gałązek.

— Na jakiego licha może być zużytkowanym prąd tak potężny?—zawołałem głośno.

Szedłem wciąż dalej, mówiąc do siebie, jak to czynią ludzie, pochłonięci jakąś wyłączną myślą, gdy nareszcie kroki moje zatrzymał niewielki strumyk.

Wyszedłem już z elektrycznego lasu i zarysy wulkanu ukazywały się wyraźnie w niewielkiem oddaleniu. Grunt był pokryty pumeksem, popiołem i żużlami. Miałem już przeskoczyć ów strumyk, kiedy ujrzałem, że woda jego wydziela wielką ilość pary: była ona tak gorącą, iż prawie sparzyła mi rękę. A więc domysły moje były słuszne: znalazłem gorące źródło i to bez żadnego trudu. Teraz będę mógł naprawić swą łódkę!

Odkrycie to tak mię ucieszyło, że chciałem iść po nią natychmiast, lecz przyszło mi na myśl pójść trochę brzegiem strumienia, płynącego w stronę straszliwej góry i okrążającego ją nieco.

Ujrzałem, iż wpada do niego niewielkie źródło; brudno-żółta barwa wód jego i ostry zapach przekonały mię, że to musi być zdrój kwaśny, które trafiają się w pobliżu wulkanów równie często, jak źródła gorące.

Humboldt znajdował przecież u podnóża Andów źródła kwaśno-siarczane!

D. c. n.

(Tłom. z fran. *K. W.*).

JESIEŃ.

Przez pola idzie szare,
wiatr płaszczem jej powiewa,
na grzbiecie szaty stare,
odziera liście z drzewa...

Przesmutną idzie niwą,
przegląda się w kałuży,
zawodzi pieśń straszliwą,
obrywa płatki róży...

Śnieżyste mrą lilije,
konają tulipany,
twarz ludzką smutek kryje
straszliwy i nieznany...

Zachodzą łzami oczy,
z ust skargi biegną słowa,
a Jesień. . chmurnie kroczy...
władczyni ta wichrowa...

Juljusz Dzięciołowski.



POR A ŁOWÓW.

Ciąg dalszy.

Często się jednak zdarza, że wilkowi się uda napotkać samotnego młodego dzika, a wówczas wszystko zależy od zręczności napastnika; jeśli się dzik pozwoli chwycić odrazu za gardło, wilk po krótkiej chwili zostaje zwycięzcą.

W pojedyńczej walce z lisem, zwykle ten ostatni uchodzi bezkarnie, lecz gdy gromada wilków go osaczy zdaleka, zbliżają się one coraz bardziej i nieszczęsne lisisko ginie rozszarpane na sztuki.

Dzik, mający przód ciała silnie rozrośnięty, oraz pysk uzbrojony straszliwemi kłami, czyli jak je myśliwi nazywali „szablami", bywa nader dla człowieka niebezpiecznym, szczególniej stare samce t. zw. odyńce, czyli pojedynki. Stare samice, czyli „samury", jako bardziej płochliwe, zajęte obroną swych małych i nie posiadające strasznych kłów, nie nęciły myśliwych, to też bardzo mało ich zabijano.

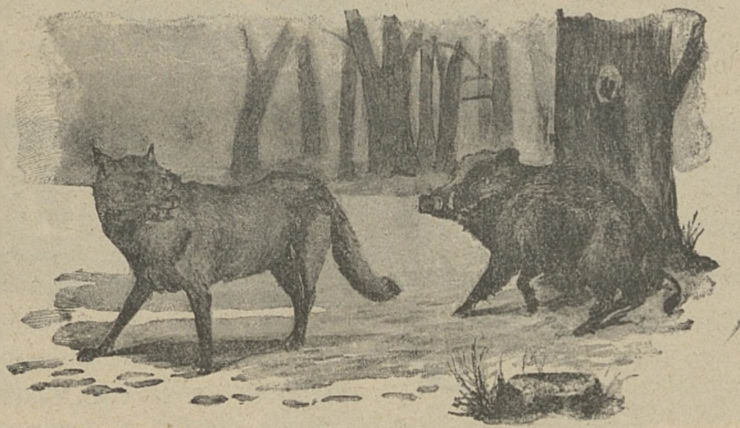
Dzik przebija się zwykle siłą przez najgęstsze zarośla, biegnąc zwykle wprost przed siebie—pływa również dobrze, z powodu spłaszczonego ciała i pokrywającego je pokładu tłuszczu.

W późnej jesieni, odyńce, samury, młode roczniaki i warchlaki czyli tegoroczne prosięta, czarno i żółto wzdłuż pręgowane, łączą się w stada aż do wiosny, poczem pojedynki znów uchodzą w niedostępne lasy i moczary. Dziki są wszystkożerne, nie gardzą myszami, robakami a nawet padliną — to też w jesieni gdy się jeszcze utuczą żołędziami, buczyną i jagodami, dostarczają wybornych, soczystych szynek; lecz w zimie chudną bardzo.

Pożywienia dostarczają im wtedy rosnące na bagnach drzewa i krzewy, których korzenie wyciągają, ryjąc niezamarzłą ziemię. Liche to pożywienie jednak sprawia, że dzik traci cały tłuszcz jesienny, naby-

ty przez zjadanie oleistych bukw, oraz kartofli i marchwi, wykopywanych nocą na polach, lasom przyległych.

wy, gdyż chwytającym dzika za uszy i gardło, rozpruwa on brzuchy straszliwemi kłami, kładąc na miejscu trupem.



Polowanie na dziki, nawet przy broni palnej, jest zawsze niebezpiecznem a kilka psów zwykle przypłaca życiem te ło-

Oprócz szynek, dziki dostarczały głowizny i smacznego sadła, wielce w dawnej Polsce cenionego.

D. c. n.

WYWIADOWCA*)

sceny z życia młodzieży angielskiej,

według dzieła twórcy organizacji wywiadowców (Boy Scouts), pułkownika Baden-Pawella,

opracował E. J. Kr

CZĘŚĆ II.

Puszczamy się w pochód. Życie w obozie. Określanie odległości. Jak odszukać ślady. Gra w polowanie na lwy. Opowiadanie Dicka.

A to nam przełożony szkoły zrobił wczoraj niespodziankę! Zaledwieśmy się zebrali na lekcję, wchodzi do sali i mówi:

— Teraz są tak piękne pogody, że daleko pożyteczniejszym będzie dla nas pobyt na świeżem powietrzu. W ostatnich

*) Część pierwsza „Wywiadowców” zawierała opowiadanie o tem, jak został założony oddział wywiadowców (lub skautów) którego dzieje podajemy poniżej, oraz rotę przysięgi i niektóre gry i zabawy skautowskie.

czasach tak znaczne postępy zrobiliśmy w naukach, że postanowiłem udzielić wam parodniowej rekreacji, żebyście nabrali świeżych sił do dalszej pracy.

Głośny okrzyk na cześć jego był mu odpowiedzią, a lekcje, aż do końca odbywały się świetnie.

Każdy, jeden przez drugiego, starał się usprawiedliwić słowa jego i dowieść, że są one słuszne.

Natychmiast po lekcjach pobiegliśmy do Dicka *), ażeby podzielić się z nim tą radosną nowiną.

— Znakomicie! — odrzekł nam z zagadkowym na ustach uśmiechem, z którego z łatwością domyśliliśmy się, że o tej rekreacji wiedział on trochę wcześniej od nas i że częściowo przyczynił się do niej. Ruszajcie teraz do domu, — rzekł: posilcie się i poproście rodziców, by pozwolili wam na odbycie parodniowej wycieczki. Dziś zrobimy przygotowania do niej, a jutro, skoro świt, wyruszymy w pochód.

Rozbiegliśmy się do domów czemprędzej. Zjadłszy pośpiesznie obiad, poprosiłem rodziców o pozwolenie przyjęcia udziału w wycieczce.

Przystali chętnie, to też zaraz po obiedzie, zabrawszy z sobą wszystko, co mój skarb wywiadowczy zawierał, pomknąłem do Dicka...

Na podwórzu wrzała gorączkowa praca. Podczas gdy część naszych zajęta była szyciem płatów płóciennych do budowy namiotów, inni przygotowywali potrzebne nam w drodze przedmioty. Jednem słowem nikt nie siedział bez roboty.

Komicznym był mały Piotruś Gandy, który, gdy Dick wspomniał, że wyprawa nasza potrwa dni parę, rzekł ze zdumieniem:

— To my i spać będziemy pod gołem niebem? I sami wszystko robić? To kucharki z nami nie będzie?

Dick roześmiał się na te słowa i głaszcząc go po głowie, rzekł:

— Nie chłopaczku, nawet niania z nami nie pójdzie, by ukołysać malutkiego i otulić go ciepłą kołderką.

Wybuchnęliśmy wszyscy śmiechem, a Dick mówił dalej:

— Każdy młodzieniec z plemienia Zulu lub Smazi, zanim zostanie uznany za dorosłego, musi przejść następującą próbę. Kiedy dojdzie do piętnastu lub szesnastu lat, zdejmują z niego wszystko, co ma na sobie i malują go białą farbą od stóp do głów. Dają mu potem tarczę i assagaj (krótką kopję), mówiąc, że zostanie zabity, jeżeli go ktobądź z wioski jego złapie, dopóki będzie wymalowany. Chłopiec idzie w dżungle i góry, kryjąc się przed ludźmi, dopóki farba nie zejdzie, co wymaga około miesiąca. Przez cały ten czas musi myśleć o sobie, odszukiwać zwierzynę i zabijać ją assagajem; rozniecać ogień dla ugotowania jedzenia, przy pomocy tarcia dwóch kawałków drewna, ze skóry zabitych przez siebie zwierząt szyje sobie odzież i musi wiedzieć, jakie korzonki, jagody i liście są jadalne.

Jeżeli nie będzie w możności robienia tego wszystkiego, umrze z głodu lub zginie, rozszarpany przez dzikie zwierzęta. Jeżeli zaś uda mu się zachować życie dotąd, dopóki nie zejdzie farba i znaleźć potem powrotną drogę do wioski, krewni jego i przyjaciele urządzają mu owacyjne przyjęcie i zostaje mianowany wojownikiem plemienia, gdyż dowiódł, że umie sam troszczyć się o siebie.

Szkoda, że nasza młodzież nie jest obowiązaną do przebycia podobnej próby, zanim uważać się zacznie za dorosłych.

To, co robimy, jako wywiadowcy, służy do pewnego stopnia jako uzupełnienie tego braku. Jeżeli każdy z was postara

*) **Dick—założyciel oddziału skautów.**

się gruntownie zapamiętać to, czego się tu uczy, to po skończeniu zajęć, będzie mieć pewne prawo do tytułu wywiadowcy i mężczyzny. Jeżeli wstąpi do służby w kraju czy w kolonjach, nie będzie dla niego zbyt trudnem wyżywić się i przynieść prawdziwą korzyść ojczyźnie.

W Kanadzie żyje i poluje bez przerwy stary myśliwiec, Bill Hamilton, liczący prawie osiemdziesiąt lat. Niedawno napisał on książkę p. t. „Sześćdziesiąt lat w prerjach”, w której opisuje niebezpieczeństwa tego rodzaju życia, pełnego przygód.

Największą obawą przejmowało go niebezpieczeństwo dostania się w ręce czerwonoskórych. Oto co mówi:

„Dostać się do nich do niewoli, jest równoznacznem ze straszną śmiercią. Tortury aż do śmierci na powolnym ogniu, jeszcze są najbardziej łaskawemi ze wszystkich okrucieństw, stosowanych przez indjan. Kiedy pytano mnie, dlaczego narażałem się na takie niebezpieczeństwo, odpowiedziałem, że życie wywiadowcy na świeżem powietrzu ma w sobie tyle czaru, że kto go raz spróbuje, ten niema więcej siły oprzeć się temu pociągowi. Człowiek, który wyrósł wśród wielkich zjawisk natury, czci prawdę, niezależność i pewność siebie; porywy jego są szlachetne, wierny jest przyjaciołom i sztandarowi swej ojczyzny”.

Z całego serca podpisuję się pod słowami starego myśliwca i ze swej strony mogę dodać jeszcze co następuje: mojem zdaniem, ludzie, przychodzący do nas z dalekich kresów, po życiu, jakie my zwykle nazywamy dzikiem i prostackiem — należą zwykle do najwspaniałomyślniejszych i najszlachetniejszych przedstawicieli ludzkości, w szczególności w ich stosunku do kobiet i dzieci. Uczucia ich szlachetnieją od zetknięcia się z naturą.

Były prezydent Stanów Zjedn., Roosewelt, również należy do liczby ludzi, wierzących w korzyść życia na świeżem powietrzu, rozkoszując się niem przy każdej okazji. Oto co pisze:

„Jestem zwolennikiem gier na otwartem powietrzu i wcale mnie to nie niepokoi, że niektóre gry połączone są z niebezpieczeństwem dla grających. Zupełnie nie współczuję nienaturalnemu przekonaniu, że młodzież trzymać należy zawiniętą w watę. W próbie życiowej zwycięży zawsze człowiek, który przywykł spędzać wiele czasu na powietrzu. Kiedy się bawicie— bawcie się z całej mocy; kiedy pracujecie—pracujcie z całej mocy. Lecz nie należy dopuszczać do tego, ażeby gry nasze lub sport, przeszkadzały umysłowym zajęciom naszym.”

Znam starego boera, który po skończeczeniu wojny oświadczył, że nie może dłużej pozostawać w kraju z powodu znajdujących się tam anglików i udał się do niemców, wojujących wtedy w sąsiedztwie, w Południowo-Zachodniej Afryce. Lecz po paru miesiącach wrócił i rzekł, że bądź co bądź z anglikami jest lepiej.

Przyznał mi się, że jednym z powodów, dla których niecierpiał anglików, była ich głupota i niezaradność. Żyjąc na stepach południowo-afrykańskich, nie umieli się urządzić wygodnie w obozie, zdobyć i gotować sobie żywności, i coraz to któryś z nich zabłądził w stepie. Lecz po upływie sześciu miesięcy, nauczyli się oni dawać sobie z tem jakoś radę. Kiedy Hamilton przyszedł do niemców, ze wstrętem ujrzał, że oni są jeszcze mniej zaradni niż anglicy i takimi pozostawali wciąż, nic się nie doskonaląc. Zapewniał mnie, że pozostaną już takimi do samej śmierci.

Rzecz polega na tem, że anglicy urodzeni i wychowani w tak cywilizowanym kraju, nie mają sposobności przygotować się do życia w stepach lub lasach dzie-

wiczych. Wskutek tego, przyjeżdżając do kolonji lub też podczas pochodu, są zupełnie bezsilni w przeciągu długiego czasu i znoszą wiele niewygód i nieprzyjemności, których by z łatwością uniknęli, jeżeli by wcześniej zaczęli myśleć o sobie, zarówno w obozie, jak i podczas należenia do plutonu. Są poprostu „nowicjuszami — delikacikami.”

Nie mieli nigdy sposobności rozpalania ognia lub gotowania sobie jedzenia; zawsze robili to za nich inni. W domu, kiedy potrzebowali wody, przekręcali tylko kran, nie mają więc najmniejszego pojęcia o tem, jak zabrać się do odszukania wody na pustyni, kiedy, naprzykład, potrzeba jej szukać po wyglądzie trawy lub krzaków, lub rozgrzebywać piasek, dopóki nie ukażą się oznaki wilgoci. Jeżeli nie znaleźli drogi, potrzebowali tylko zapytać się stójkowego i rzecz skończona.

Mieli zawsze możność ukrycia się w domu podczas niepogody i spać w łóżkach. Nigdy nie mieli potrzeby przygotowywania sobie odzieży lub obuwia. Dlatego też „delikacik” mówi o niewygodach życia obozowego, lecz wywiadowca, rozumiejący rzecz całą, tego nie dostrzega. Umie urządzić się i wykorzystać tysiące drobiazgów, pomnażających wygody jego: za to, kiedy powraca do cywilizacji, rozkoszuje się nią, a przytem daleko łatwiej mu wyszukać dla siebie zajęcie, gdyż może wziąć się do każdej roboty, która mu się nawinie.

Umilkł Dick, a myśmy podczas opowieści jego pracowali gorączkowo, ażeby tylko wszystko do jutrzejszego pochodu było gotowe.

Każdy z nas otrzymał również od niego wskazówkę, co ma zabrać z sobą i co nieść, ażeby wszyscy jednako byli obładowani.

Wcześniej też, niż zwykle, rozeszliśmy się na spoczynek, gdyż przed świtem mieliśmy wyruszyć w drogę.

Szarzało zaledwie, gdym zerwał się na równe nogi i umywszy się, ubrałem czemprędzej.

Szklanka zimnego mleka z chlebem stanowiła całe me śniadanie. Uściskałem rodziców i podążyłem czemprędzej do Dicka.

Nie byłem pierwszym. Byli tacy, co mnie już uprzedzili... Zgrupowani na podwórzu, oczekiwaliśmy nadejścia pozostałych.

Przyszli wreszcie.

Jednem bystrem spojrzeniem zlustrował nas Dick, poczem, podzieleni na plutony, z sztandarem na czele, z pieśnią na ustach ruszyliśmy naprzód.

Słońce dopiero co wschodziło. Ukazywały się też na wschodzie różowawo-złote obłoczki jutrzenki, gdyśmy z ulic miasta wstąpili na szeroką, wijącą się wśród zielonych łanów, drogę.

Owionęła nas świeżość pól, ożywcze tchnienie. Każdy całą piersią wchłaniał czyste, wolne od kurzu powietrze.

Dick szedł na czele i wskazywał nam drogę.

Tak idąc, przyszliśmy na rozległą łąkę, na której gdzieniegdzie widniały kępy krzaków.

Zatrzymaliśmy się tam, a Dick rzekł:

— Rozdzielicie się na dwie partje. Pierwsza pod wodzą Leystona pójdzie tam, aż do tych zagajników olszynowych, druga pozostanie tu. Po przybyciu na miejsce dacie sygnał strzałem pistoletowym i wtedy z obydwóch stron wyruszy po dwóch wywiadowców i będą się przekradać ku tej kępie drzew. Który stanie tam pierwszy, otrzyma stopień.

D. c. n.

REGALJA KRÓLEWSKIE.

(Przygody profesora Nickiego i jego famulusa, Pawełka).

Opowiedział Edmund Jezierski.

Ciąg dalszy.

Lecz sypiące się na nie klęski pożarów, zarazy morowej, oraz wojny szwedzkie, doprowadziły je powoli do ruiny, zmniejszyły dobrobyt.

Dopiero, gdy po podziale kraju, Płock dostał się w ręce pruskie, rząd pruski gorliwie zajął się powiększeniem i odbudowaniem miasta, starając się przywrócić mu dawną świetność.

Tak rozmawiając doszli do starożytnej katedry.

— Katedra ta—zaczął już sam objaśniać profesor, nie czekając na zapytanie Pawełka—wzniesioną została w r. 1136 przez Aleksandra, biskupa płockiego, w formie krzyża. Lecz przez przeciąg wieków rozszerzali ją i przyozdabiali rozmaicie późniejsi biskupi, ostatnio zaś fasadę przebudował król Stanisław August. Stąd też pochodzi ta dziwaczna mięszanina stylów, jaką w gmachu tym widzimy.

Weszli do wnętrza. Wionął na nich chłód, starożytnym budowlom właściwy. Z nabożnem skupieniem rozpoczęli zwiedzanie świątyni od kaplicy, mieszczącej grobowce dwóch królów, ojca i syna, Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego.

Obejrzeli potem pomnik biskupa Ignacego Krasickiego, oraz ołtarze i kaplice, zmówili nabożnie pacierze, poczem skierowali się na zwiedzanie różnych innych pamiątek.

A więc obejrzeli starożytny kościół św. Wojciecha, fundowany w XIII wieku, niegdyś należący do klasztoru Benedyktynów, a później Misjonarzy; kościół św. Bartłomieja, wzniesiony w XIV wieku; kościół poreformacki, wybudowany w r. 1763; klasztor ze szpitalikiem sióstr miłosierdzia i drewniany kościołek św. Katarzyny na cmentarzu.

— Niegdyś inaczej tu bywało — rzekł smutnie, kiwając głową profesor—wznosiło się tu 15 kościołów i 6 klasztorów. Lecz czasy wojen i niepokojów, pożary i inne nieszczęścia, obróciły znaczną część ich w gruz i perzynę, lub też ludzie na inny obrócili je użytek.

Zwiedzili potem jeszcze kilka gmachów, odznaczających się pięknością, jak: pałac biskupi, ratusz i inne, i znużeni tą wycieczką, wrócili do hotelu.

Już wchodząc do przedsionka, posłyszeli na górze gwar jakiś, jakby kłótnię, jakby sprzeczkę głośną. Nad dobiegającemi stamtąd głosami, górował piskliwy dyszkant pani Marcinowej, któremu grubszym ba-

sem od czasu do czasu odpowiadały jakieś męskie głosy.

— Cóż to, my włóczęgi jakie, czy co? krzyczała pani Marcinowa—żebyśmy zaraz musieli przedstawiać wam legitymacje swoje? Nie wystarcza wam, gdy mówię: pan profesor Nicki ze służbą, z Warszawy.

— Ależ łaskawa pani—z pokorą mówi bas—my musimy posiadać legitymacje. Inaczej nie możemy trzymać państwa w hotelu. Takie są przepisy.

— Co mi tam przepisy, — krzyczała gniewnie pani Marcinowa: wiem, że jesteśmy porządnymi ludźmi, i basta, i że żadnych tam legitymacji nie potrzebuję.

Sprzeczka zaogniała się coraz bardziej, i groziła już przejściem w kłótnię, gdy profesor zjawił się na widowni.

— O co to idzie? — zapytał, zwracając się do mężczyzny, portjera hotelowego.

— A to, proszę łaski pana dobrodzieja—odrzekł tenże: przyszedłem po dowody do zameldowania, a tu pani wpadła na mnie z wymyślaniami, że legitymacji niema i że nie myśli ich dawać. A tu policja na nas nalega.

Chciała odpowiedzieć na to pani Marcinowa, ale profesor skinieniem powstrzymał ją, i rzekł:

— Widzi pan, zaszła tu jedna smutna okoliczność, mianowicie ta, że wszystkie dowody pozostawiłem w Warszawie na biurku, a panom mogę złożyć tylko to zaświadczenie...

Poskrobał się w głowę portjer, obejrzawszy podane mu zaświadczenie, i oddając je, rzekł:

— To dla nas nie stanowi dowodu. Obecnie panuje stan wojenny, i za brak dowodów mogą państwo narazić się na wiele nieprzyjemności. Mogą państwa osadzić w więzieniu, aż do czasu sprawdzenia osobistości, etapem odesłać do Warszawy i t. d.

W miarę słów jego, przerażenie zdejmowało profesora. Kroplisty pot okrył czoło jego, a pani Marcinowa złożyła nabożnie ręce, drżąc cała z przestachu.

— A więc co robić?—spytał wystraszony profesor.

Portjer nabrał pewności siebie, widząc, że góruje nad nimi, i pokręcając wąsa, odrzekł:

— Musi pan albo telegrafować do Warszawy po dokumenty, albo sam pojechać po nie.

Chwilę namyślał się profesor, wreszcie rzekł:

— To już lepiej ja sam pojadę.

— I najlepiej pan zrobi. Statek odchodzi za godzinę.

— A ja co tu robić będę?—z przestrachem spytała pani Marcinowa.

— Pozostanie tu pani aż do powrotu pana — odrzekł portjer i z naciskiem dodał: — policja kobiet, zwłaszcza leciwych, się nie czepia.

Gdyby oczy ludzkie mogły ciskać błyskawice, to napewno grom z oczu pani Marcinowej zabiłby zuchwałego portjera.

Już miała wybuchnąć gniewem, gdy odezwał się Pawełek:

— A ja co będę robił?

Tak ze wszystkich stron nagabywany nieszczęsny profesor, złapał się za głowę i zawołał:

— Ależ dajcie mi spokój. Przecież za dwa dni powrócę. Marcinowa zostanie tu, by pilnować rzeczy...

— A ja?—powtórzył natarczywie zapytanie Pawełek.

— Ty pojedziesz ze mną.

Odpowiedź ta wprowadziła Pawełka w stan nieopisanej radości.

Podskoczył więc do góry, ku wielkiemu zdumieniu portjera wykręcił wspaniałego koziołka i czemprędzej pobiegł na dół, do stajni, by podzielić się z Tomaszem tą radosną nowiną.

Jedzie z powrotem do Warszawy i to statkiem.

I w bujnej jego wyobraźni już stawały niezwykłe przygody, opisy których czytał w dziełach podróżników. A nuż statek się rozbije... nuż napadną na niego piraci?

Zajęty wielce tą myślą, gorączkowo gromadzić zaczął wszystko, co tylko do obrony i ratunku przydać się mogło.

Profesor Nicki tymczasem zajęty był wielce... To pakował małą walizkę na drogę, to czekał na powrót wysłańca hotelowego, który poszedł kupić bilety na parostatek, zamówić miejsca, a jednocześnie dowiedzieć się o godzinie odjazdu.

Dobre dwie godziny upłynęły, zanim się ów wysłaniec zjawił, i doręczając profesorowi bilety, rzekł:

— Są. Na „Merkury", odpływa o dwunastej...

— Czy w południe? — spytał profesor.

— Nie, w nocy.

(D. c. n.)

KRONICZKA.

△ W Chinach, w prow. Czszecian, wybuchł tajfun, który zburzył całe miasto i mnóstwo wsi. Ofiarami jego padło 50,000 ludzi.

△ Zmarł w Warszawie ś. p. Juljan Wieniawski, znany w literaturze pod pseudonimem „Jordan". Po strasznych wypadkach 1863 r. wyjechał zagranicę, powróciwszy po paru latach, został założycielem instytucji finansowej, Tow. Wzajemnego Kredytu. Utwory literackie zmarłego, odznaczają się szczerym humorem i talentem.

△ W Maroku wojska francuskie pobiły pretendenta El-Hibę, który zbiegł w niewiadomym kierunku.

△ Włosi w Trypolisie zdobyli oazę Zanzur.

△ Oczekiwany jest lada chwila wybuch wojny między Bułgarją a Turcją.

Kącik śmiechu.

Ciotka. Może zjesz, Józiu, jeszcze mały kawałek tortu?

Józio. Nie, dziękuję.

Ciotka. A cóż chciałbyś dostać?

Józio. Duży kawałek.

— Mówią, że palenie tytoniu jest szkodliwem — jednak mój ojciec pali wiele, a ma 78 lat.

— Ba! Ale gdyby nie palił, byłby o wiele starszym!

Starszy brat do młodszego: — Cóż robiłeś dzisiaj w szkółce?

Ja? Czekałem, kiedy się lekcje skończą.

„O własnych siłach".

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez «Czerwonego Korsarza».

—o—

Z następujących sylab ułożyć 16 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko wodza polskiego.

Sylaby: a, an, ce, chę, chost, ci, ców, cze, domsk, drze, ej, elż, fir, gus, gród, i, ig, jo, jów, ki, kraś, lej, ra, mier, na, ni, ni, nie, go, nik, no, ny, ra, re, sła, sta, sza, szow, tów, tów, ty, u, wa, wan, wi, wiec, wo, wów, ła, za, bie.

Znaczenie wyrazów:

1. Osada w powiecie Nowo-Mińskim.
2. Osada w gub. Lubelskiej.
3. Miasto w gub. Kowieńskiej.
4. Osada w powiecie Lubartowskim.
5. Miasto w gub. Suwalskiej.
6. Miasto w gub. Warszawskiej.
7. Osada w powiecie Lubartowskim.
8. Osada w gub. Radomskiej.
9. Osada w gub. Łomżyńskiej.
10. Miasto w powiecie Chełmskim.
11. Miasto przy kolei Warszawsko-Wied.
12. Osada w pow. Nowo-Radomskim.
13. Osada w gub. Siedleckiej.
14. Miasto w gub. Kieleckiej.
15. Miasto w powiecie Janowskim.
16. Forteca w gub. Lubelskiej.

Zadanie kryształowe

ułożone przez Gienię S.

—o—

Cyfry zastąpić literami tak, ażeby środkowe litery, czytane z góry na dół i od ręki lewej ku prawej utworzyły nazwę miejscowości pod Krakowem.

13
7 5 12
11 15 4 6 1
2 5 4 7 1 9 14
13 5 4 7 5 3 15 6 1
6 1 11 3 15 8 1
6 11 15 14 16
10 6 10
1

Znaczenie wyrazów:

1. Spółgłoska.
2. Zwierzę.
3. Woda bieżąca.
4. Miejscowość pod Warszawą.
5. Wyraz obrany za zadanie.
6. Inaczej zajazd.
7. Godło wiary chrześcijańskiej.
8. Narzędzie wzroku.
9. Samogłoska.

Rozwiązanie arytmografu z Nr. 35.

1. ***H***
2. L**e**w
3. Lemo**n**iada
4. Ba**r**an
5. S**y**n
6. O**k**o
7. O**S**a
8. K**i**j
9. Tel**e**fon
10. Wrot**n**isko
11. S**k**i
12. Al**i**na
13. S**e**r
14. Ro**w**er
15. Tul**i**pan
16. Ku**c**yk
17. Mur**z**yni

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 35.

1. Syrja
2. Tanganika
3. Alfred
4. Niniwa
5. Irokezi
6. Smirna
7. Łuk
8. Anglja
9. Waszyngton
10. Rubikon
11. Etnografja
12. Małecki
13. Indusi
14. Sewilla
15. Zenit

Stanisław Remisz.

Do numeru dzisiejszego (40) dołącza się dla prenumeratorów warszawskich prospekt Panoramy „T E R R A".

Dla uniknięcia zwłoki w przesyłce, uprzejmie prosimy o wcześniejsze nadsyłanie przedpłaty za kwartał 4-ty.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 36.

1. Jassy
2. Odeon
3. Asnyk
4. Ceuta
5. Homar
6. Imaginacja
7. Mojry
8. Lilak
9. Elbrus
10. Ljanosy
11. Erytrejskie
12. Waltornia
13. Emir
14. Lak

Joachim Lelewel.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej i gieograficznej z N-ru 37-go nadesłał Teodor z ul. Wilczej.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej i gieograficznej z N-ru 38-go nadesłał Telesfor z ul. Wilczej.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej, szarady i arytmografu z N-ru 35-go nadesłała Jasnotka z nad Świdra.

Rozwiązanie łamigłówki kreskowej z Nr. 36.

Nil
ad**A**
San
ar**A**
Nos
cy**D**
Ona
do**M**
Inn
do**N**
Gad
kt**O**

Na San-Domingo.

Adres Administracji—Nowy-Świat 53.
Adres Redakcji—Ordynacka 8 m. 7.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty.

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 2 kop. 50	rb. 3 kop. 50
Półrocznie	„ 1 „ 25	1 „ 80
Kwartalnie	„ — „ 65	— „ 90
Rocznie z dodatkami w oprawie	rb. 4 kop. 30	5 „ 30

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.
W Galicji kwartalnie kor. 2.40.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa.** Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 7.